

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

Romans psychiczny.

Ciąg dalszy.

— No, to będzie, do licha! — odrzekł, śmiejąc się doktor. — Poczekajcie jednak z swym mistycyzmem, aż baron i ja wyjdziemy. Podniosłe sprawy źle działają na trawienie.

— Jak się ma panna Franchard — zapytał mnie ksiądz, zmieszany trochę rubasznym tonem doktora.

— Narazie niema nic niebezpiecznego — odpowiedziałem — mimo to stan chorej jest poważny i trzeba nad nią czuwać.

Rozpoczął się długi i ceremonialny obiad, który przejął w zupełności baron i doktor. Franchard odzywał się mało, przeważnie dla wymieniania różnych gatunków win, kiedy i od kogo je nabył, przytem wymieniał stare daty i stare rodowe nazwiska. Wina istotnie były doskonałe: piłem je według zwyczaju umiarkowanie, zato nie szczędził ich sobie mój kolega. Ksiądz Jauga jadł tylko jarzyny i popijał je wodą. Na czarną kawę przeszliśmy do gabinetu. Proboszcz nie używał jej i nie palił, odpowiedział mi jednak, gdy go częstowałem, iż dym mu nie szkodzi. Szukał wyraźnie zbliżenia ze mną. Po dość długim milczeniu i namyśle, odezwał się do mnie niespodzianie i jakby czynił nad sobą jakiś wysiłek:

— Co pan sądzi w istocie o stanie panny Franchard?

— Całe swe zdanie już wyraziłem księdzu proboszczowi.

— A czy poinformowano pana doktora wśród jakich okoliczności zaczęła się gorączka?

— Ogólnikowo tylko.

— Czy powiedziano panu, że widuje stale we śnie młodego człowieka, który był dzisiaj na mszy i że prosiła swego ojca o zerwanie, lub choćby odłożenie małżeństwa z panem Delille i tylko wskutek odmowy zachorowała?

Nie odpowiedziałem na to. Zostałem powiadomiony o tych szczegółach tylko jako lekarz i dlatego uznałem za stosowne milczeć. Ksiądz zapewne domyślił się tego, gdyż dodał:

— Proszę wybaczyć moją niedyskrecję: jestem bardzo przywiązany do panny Franchard, którą chrzciliśmy.

Po chwili milczenia mówił dalej:

— Obawiam się, czyli pytam się, raczej... Ach! Zresztą — zawołał ten zacytowany ksiądz — niech mnie pan zwolni od wszelkich ogródek. Nie potrafię tego, nie w sobie nie mam z dyplomaty. Wiem, co pan Franchard mówił o snach swej córki, nie przykładam do nich żadnego znaczenia, ale też nie zna ich dokładnie.

Czy pan wie, jak się zaczęły te sny? Dziecko to — mówił ksiądz z zabawnym zakłopotaniem — opowiedziało mi swoją historię. Ale nie na spowiedzi; ona wie, że wierzę w rzeczy, w które ludzie nie wierzą. Ufa mi ona. Powiedziała mi, że zgubiła koralowy różaniec, który przywiozłem jej z Rzymu: był on poświęcony przez papieża Leona XIII. Nie przywiązywałem do tej zguby żadnej wagi, gdy naraz przyszła do mnie do zakrystyi. Chciała się poradzić mnie: odpowiedziałem, że wskazówek duchownych udzielam tylko w konfesyjale, wtedy wyznała mi, że opowiedziała o snach rodzicom, ale nazwali ją wariatką, nie chce więc już więcej narzązać się na drwiny ojca. Przyznam się ze skruchą, że słowa te obudziły moją ciekawość. Zacząłem ją słuchać i dowiedziałem się niezwyklej historii; nadmieniła mi także, że pan o tem wie i dlatego mówię o tem doktorowi.

— Panna Franchard powiedziała, że ja jestem wtajemniczony w jej historię? — zapytałem ze zdziwieniem.

— Tak! Zaraz pan się o tem dowie. Nie mogę mówić w obecności innych osób o tem, co mam do odkrycia tylko panu. Doktor zna pana Leyre?

— Znam.

— Panna Franchard powiedziała mi, że pan Leyre opowiedział wszystko doktorowi.

— To mniejsza, ale co dalej?

Ksiądz spojrzał na mnie tajemniczo, uśmiechnął się i opisał mi dość szczegółowo niezwykle spotkanie panny Franchard z młodym chemikiem. Zgadzało się to z tem, co mi mówił Leyre.

— Sądziłem, że leży to w interesie panny Franchard, bym powiedział doktorowi to, co od niej słyszałem. Ona wie, że doktor jest jakby duchowym kierownikiem tego młodego człowieka i tylko dla jej dobra wyznaje to wszystko panu.

Milczałem, zastanawiając się uważnie nad opo-

wiadaniami księdza. Zwierzenia pana Leyre, czynione tajemniczej postaci były obszerniejsze, niż mi o tem mówił i przypuszczam, że ich rozmowy duchowe przekroczyły granice zwykłej sentymentalności. Panna Franchard nie tylko musiała wyznać wszystko to szczegółowo, ale i wyjawiać w konfesyjale swe tajemne myśli i teraz widzę, skąd wzięło się delirium młodej panny. Ksiądz musiał wywierać duży wpływ na rozwój jej myśli. Znalazł w niej duszę podatną do marzeń i sam ją zapewne wprowadził na mistyczną drogę rozmyślań i kontemplacji. Matka Boska była prawdopodobnie przedmiotem jej gorących modlitw, odmawianych po największej części na koralowym różańcu. Wpływ tego narzędzia modlitwy, poświęconego przez wielkiego papieża, mógł być dla niej tylko boskim. Łącząc we śnie jej duszę z duszą pana Leyre, Matka Boska w pojęciu tej młodej panny stawała się specjalną ich opiekunką i życzyła sobie ich związku.

Gdy ja rozważałem te szczegóły, ks. Jauga jakby nie widząc mnie wcale, pogrążony był w głęboką zadumę: jasne i żywe jego oczy rzucały gdzieś w dal swe spojrzenia, myśli jego przejęte były obawą jakiejś winy, gdyż przeproszał o coś Pana Boga wymawiając często szeptem to imię. Wreszcie skończył swą modlitwę i zwrócił na mnie swe oczy.

— Muszę się wydawać panu doktorowi dziwakiem — rzekł z zakłopotaniem. — Jestem starym księdzem bez znajomości form światowych.

— Widzę tylko, że ksiądz proboszcz jest zacnym człowiekiem, a Bóg sądzi nas według naszej woli. Niech ksiądz nie traci ufności. Teraz chcę udać się do chorej, przy której spędzę noc; spodziewam się, że jutro będzie widoczne polepszenie. Niech mi tylko jeszcze ksiądz proboszcz powie, czy baron jest pobożny?

— Tak, ale obawiam się, że jego pobożność jest taka, jak wielu innych ludzi światowych. Więcej dla nich znaczy forma, niż treść.

— Czy można spodziewać się, że troska o zdrowie córki, istnienie jakiejś tajemniczej siły, którą ksiądz proboszcz przypisuje Panu Bogu, mogą go skłonić do odłożenia ślubu?

— Baron nie wierzy w tajemnicze wpływy, które stają w poprzek jego woli. Boga uważa za tak rozsądnego, iż jest on zawsze jednego z nim zdania. Pan Bóg jest zbyt roztropny, według niego, by pobudzał córki do nieposłuszeństwa ojcu. Niestety umysł barona widzi palec Boży tylko w tem, co jemu samemu się podoba i czego chce. Więcej wpływając na niego może troska o zdrowie córki, ale wtedy swe ustępstwo pozorne takimi zatrute wymówkami, iż z góry będzie wiedział, że córka go nie przyjmie i ulegnie wkońcu jego woli.

— Więc koniec końcem postawi na swoim?

— Tego właśnie obawiam się.

— A pani Franchard?

— Pani baronowa jest bardzo dobrą i nabożną. Kocha swą córkę i chce ją widzieć szczęśliwą, ale poddana jest woli męża. Słabą jest i bez energii.

— Dziękuję, księżo proboszczu. Sytuacja jest rozpacziwa, mimo to nie tracę nadziei.

— Niech Bóg pana wysłucha — rzekł ksiądz, czyniąc znak krzyża.

Pożegnałem barona i doktora Dussirona, którzy tak byli zajęci polityką, iż nie zwrócili zupełnie uwagi na mą rozmowę z księdzem i udałem się do pokoju chorej. Była już dziesiąta godzina.

Panna Franchard znajdowała się w tym samym stanie; zmierzyłem temperaturę, która wynosiła 39.8. Baronowa siedziała przy córce i cicho płakała.

Przysunąłem fotel do łóżka, odprawiłem pokojówkę, prosiąc, by była gotową na każde wezwanie i pozostałem sam z panią Franchard.

— Niech pani uspokoi się — rzekłem jej. — Stan córki nie pogorszył się, a to dobrze wróży.

— Ach! Panie, żeby to tak było w istocie!

— Spodziewam się, że nastąpi wkrótce uspokojenie i dlatego nie zapisuję żadnego lekarstwa. Oczekując, chciałbym dowiedzieć się od pani, wśród jakich okoliczności okazała się choroba. Czy córka była bardzo wzruszoną, widząc w kościele pana Leyre?

— Nie. Ujrzelśmy tego pana przy wyjściu. Łucya zatrzymała się nagle i zawołała: „Och, mamo, oto ten pan, którego we śnie widuję“. Młody ten człowiek uklonił się nam, na co Łucya odpowiedziała. Od tej chwili stała się zamyśloną, nie odzywała się wcale i dopiero po powrocie do zamku prosiła ojca o odłożenie ślubu. Żałuję bardzo, iż zartowałam ze snów biednego dziecka! Przestraszyłam ją i przerwałam jej zwierzenia.

— O ile mogę zrozumieć, to córka pani przypisuje swe sny wpływowi Boskiemu?

— Tak, panie.

— Wyobraża sobie, że jest zmuszoną do wy-

boru między posłuszeństwem ojcu i poddaniem się woli Boskiej?

— Tak.

— Czy jest bardzo nabożna?

— Nie bardzo. Odmawia swe modlitwy, bywa regularnie na mszy w niedziele i czwartki, nieraz towarzyszy mi i na nieszpory. Ma tylko specjalne nabożeństwo do Matki Boskiej.

— Czy modlitwy jej są długie?

— Nie.

— Czy odprawia medytacje?

— Tak. Zamyka się codziennie w tym celu na pół godziny w swym pokoju. Wiem także, że za przedmiot swych medytacji wybiera zawsze żywot Matki Boskiej.

— Czy państwo nie sprzeciwiali się tym praktykom?

— Wcale nie. Poleciał je nam przecież spowiednik. Jakież zarzuty moglibyśmy czynić?

— A co pani sama sądzi o delirium córki. Czy wierzy pani we wpływ nadprzyrodzony na jej sny.

— Nic nie wiem — odpowiedziała z wahaniem. — Nie mogę tutaj widzieć sprawki dyabelskiej. Bóg nie pozwoliłby na kuszenie młodych dusz. Lecz, jak panu doktorowi przedstawia się choroba córki?

Przyznam się, że odpowiedź moja była obłudna. Chciałem zdobyć zaufanie pani Franchard i nie wyjawilem swego zdania, jako niezgodnego z kościołem. Skryłem swoją niewiarę.

— Nie bardzo jestem biegły w tych sprawach — odrzekłem — lecz ksiądz Jauga nie sądzi, by wypadki, wywołane znalezieniem poświęcanego różańca, mogły być przypisane dyabłu. Widzi w tem raczej działanie Pana Boga, dla którego córka pani żywiła specjalny kult.

Spostrzegłem, że poruszyłem czułe struny. Jak wiele kobiet katolickich, pani Franchard mieszała z prawdziwą pobożnością całą masę przesądów; tak dobrze wierzyła w nieomylność papieża, jak i w to, że modlitwa do św. Antoniego Padewskiego pomagała do znalezienia zgubionej rzeczy.

— Więc pan doktor przypuszcza tutaj działanie Opatrzności?

— Nie wydaje mi się to niemożliwym — odpowiedziałem, rumieniąc się ze swego kłamstwa — nie mogę tutaj nic stanowczego orzec, gdyż zbyt mało mam wiadomości teologicznych, by należycie ocenić te fakty; w każdy razie jestem przekonany, że wypadek, a tem mniej dyabeł nic tu nie mają do działania.

— Jeżeli więc nie jest to ani wypadek, ani szatan, w takim razie Opatrzność — rzekła baronowa. — Jest to także i zdanie księdza proboszcza, który jest świętym człowiekiem — dodała z przekonaniem.

— Zdaje mi się, że wkrótce nastąpi kryzys — odezwał się, spoglądając na chorą — muszę więc uważać bacznie. Niech pani niczem się nie trwoży, coby się nie stało. Proszę mi ufać.

Spostrzegłem, że chora uspokajała się: słowa jej stawały się rzadsze, powieki opadały na dół, wreszcie przymknęły się zupełnie oczy; oddech był regularny. Gdy przekonałem się, że zupełnie usnęła, powróciłem do przerwanej rozmowy.

— Muszę pani wyznać powody, które nakazują mi spodziewać się polepszenia, proszę jednak nie wyjawiać tego nikomu. Sądzę, że noc przyniesie córce pani zwykły sen.

Jeżeli się nie mylę, zacznie ona zaraz błędnąć. Proszę nie niepokoić się: niech pani nie okazuje żadnego wzruszenia, nie czyni żadnego szmeru ani ruchu, który mógłby obudzić śpiącą, nie mógłbym w przeciwnym razie odpowiadać za jej wyzdrowienie. Niech pani będzie spokojną, rozmawia ze mną i oczekuje obudzenia córki, a wszystko pójdzie dobrze. Muszę tylko przestrzedz panią, że córka może słyszeć naszą rozmowę i ją zapamiętać; proszę więc zachować zimną krew i nie dziwić się niczemu, na przykład gorliwości, z jaką będę bronił wpływu Opatrzności na tę sprawę. Oczekujemy teraz cierpliwie.

Zacząłem znowu obserwować chorą, podczas gdy pani Franchard odmawiała różaniec. Co ja miałem mówić? Zdawałem sobie sprawę, że wprowadzam do leczenia nie medyczne środki, że sam w swe słowa nie wierzę. Zarumieniłem się, gdyby doktor Dussiron mógł być świadkiem mego systemu terapeutycznego; na szczęście śpi teraz jak zabity. Zastanawiałem się nad tem, o czem mam rozmawiać z baronową, by wyrzucić zbawienny wpływ na chorą. Chciałem dodać nadziei i odwagi tym młodym ludziom, okazać, że jestem ich sprzymierzeńcem i będę im pomagał wedle sił. Byłem pewny, że i pan Leyre będzie mnie słyszał, należało więc go przygotować, że wobec uporu barona nie będzie można odłożyć ślubu, ale zarazem i pocieszyć, że mimo t